№ 8. Warszawa, dnia 12 (24) Lutego 1886 r. Rok XXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KWESTYONARYUSZ RODZINNY.[1]

W dalszym ciągu odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny zgromadziła się pewna ilość spostrzeżeń i uwag, zasługujących na to, aby je wziąć do serca, do umysłu. Charakterystyczną cechą wszystkich prawie jest, że proponowane oszczędności i zmiany trybu życia polegają przeważnie na wyrugowaniu z życia naszego wad, nawyknień i skłonności takich, które stanowiłyby w obyczajach nawet najbogatszych, najpomyślniej rozwijających się społeczeństw ich stronę ujemną. Zatem owa ciężka chwila przesilenia ekonomicznego, ów zawieszony nam nad głowami miecz Demoklesa, stałby się środkiem udoskonalenia nas, podniesienia duchowego, umoralnienia przez cnoty, których brakowało nam w czasach lepszych, i brakuje dotąd.

Jak dyament szlifowany pod ostrzem tnącego go narzędzia, staje się dopiero brylantem: rozbłyskuje i rzuca świetne ognie swoje, tak duch nasz pod siłą doświadczającej go próby losu, wydobył-by sobie z głębi piękność i jasność swą rodzimą — rozświetlił się i wydał promienie tego blasku, któryby złożył świadectwo o szlachetnej iskrze, skrytej w jego łonie. Tak bywa z ludźmi i ludami wyższej, dzielniejszej natury. Jeżeli przez słabość, miękkość, naleciałości z zewnątrz idące, zaćmi się ich żywotność i leniwie ulegają zepsuciu, ospale grzęzną w bezduszność, w bezmyślność, bezradność, lub dają się unosić płochym zawrotom głowy, przy których nie ma już myśli o jutrze—ocknięcie się następuje przecież natychmiast skoro nieprzewidywany piorun nieszczęścia uderzy. To ich ojcowizny się spalą! to ich świętości w pożarze przepadną!.. i na gruzach siędzie żałoba, a groby trawą porosną!.. Co jest w piersiach siły życia i zapału miłości, musi wtedy wzruszyć się i sprowadzić wstrząśnięcie zbawcze—skłonić do zastanowienia się nad sobą, skupienia w siebie—do myśli, gdzie prowadzi ta drogą, którą się dąży? Końcowa jej przepaść, ukazująca się nagle przy złowieszczem świetle gromowej błyskawicy, każe sercom, gdzie w łonach są, zadrżeć i rzucić się gorąco.

Historya tak pojedynczych jednostek, jak gromad zbiorowych, świadczy, że zdarzają się w takich chwilach wielkie i wspaniałe rzuty uczucia, a przy otrząśnięciu się z lekkomyślnej płochości, lub leniwego ospalstwa myśli, nagłe rozjaśnienia rozumu. Gdzieby już nie było na to siły, gdzieby brakowało na to dzielności ducha, tamby już nie było nic, bo nawet tego instynktu zachowawczego, który uczy organizmy najniższe, jak mają zabezpieczać istnienie swoje. Bajka o koniku polnym, żebrzącym w zimie pożywienia u pszczoły, czy mrówki,—sprzecza się z prawami naturalnej historyi naszego świata. Twory, które nie gromadzą zapasów, pozwalających im przetrzymać czasy niedostatków, nie wiodą nawet żebraczego istnienia. Nie! wymierają one ryczałtem i na ich miejsce przychodzą rozwijając życie istoty nowe!

Że przecież ta surowa mistrzyni, która się zowie biedą, nieszczęściem, ma moc wydobywania z piersi ludzkiej sił spotęgowanych, że wstrząsa i z letargu wyprowadza, do spojrzenia w siebie i przed siebie skłania, pod grozą strat najwyższych uczy tej mądrości, która choroby ducha leczy—rzecz to niewątpliwa i nie strach też, nie trwoga przejmowałaby piersi ludzkie, gdyby na spotkanie z tą biedą materyalną, która wielkiemi krokami ku nam się przysuwa, wystąpiło nam z łona bogactwo duchowe: siła woli powaga myśli, i zdolność tej pracy wytrwałej, która znojem swoim głazy użyznia i, na kamieniu siejąc, z kamienia plon zbiera. Szwajcar, jak na perły najdroższe, zastawia u upustów strumieni sieć z sitowia na ziemię rodzajną, którą woda gdzieś od dalekich brzegów obrywając, niesie, i w woreczkach ją sobie na skaliste swe turnie znosi; a przecież żyje, cywilizowane społeczeństwo stanowi, i pełną chwały historyą tworzy, heroicznych czynów wspomnienie pamięci wieków przekazuje.

Czy ma się to, co, jedną ręką biorąc, drugą się oddaje — co, jak woda, uciekająca przez palce, przechodzi nam tylko przez ręce? Nigdy też nie był właściwie naszym ten grosz, za plony żyznych naszych zagonów zebrany, któryśmy następnie zagranicy za jej wykwinty i elegancye oddawali, za który „jeździliśmy do Paryża i Monaco“ czy w dosłownem znaczeniu tych wyrazów, czy figurycznie tylko, gdyśmy tem miejscom marnotrawnego używania do siebie przyjeżdżać kazali w przedmiotach zbytku i wystawności, za drogie pieniądze sprowadzanych, i któremi zasłanialiśmy sobie kunsztownie życie od tej troski szaro odzianej, która przy domowem naszem ognisku i wtedy już siedziała. Nie było to nasze mienie, nie był to zgoła nasz majątek żaden, któryby nam bogactwo kraju, i zamożność rodzin naszych tworzył, któryby z nami jako zasobność nasza zostawał; a co nam z tego jedynie i już niewątpliwie na nasz osobisty dział przypadało, to idące w ślad tych materyalnych przyczyn skutki moralne: płochość rozrzutna, marnotrawność lekkomyślna, nawyknienie do zbytku i chęć używania, które prostotę starych obyczajów naszych rozburzając, piętnowały je cechą kosmopolityzmu. A tego już nie pozbywa się ani lekko, ani łatwo, bo to w charaktery ludzkie wchodzi, to społeczeństwo urabia i wedle swej modły kształtuje, dzieci chowa i przez konieczne prawo oddziaływania na ludzie się odbija. Jeszcze stary Monteskiusz powiedział, że lud jest zawsze takim, jakie są wyż-

1) Nr 28 Bluszczu z 1885 r.

sze klassy narodu, boć to jedyni jego nauczyciele przodownicy jego moralni.

Jeżeli więc przy zmienionem położeniu ekonomicznem zmieni się rozumnie i układ naszego życia, jeżeli przez głębsze wejrzenie w siebie i w koło siebie poruszy nam ducha w piersiach i cnotę obywatelską rozbudzi, jeżeli poza książką (byle nie romansem francuzkim Zoli i nie-Zoli) poza lekarstwem i nauką, naukową podróżą, nie oddamy żadnego grosza zagranicy, zadawalniając się tem, co kraj nasz wydać może: kto wie czy budżet nasz przy porównaniu dochodu z rozchodem nie wyrówna się i zachwiana równowaga nie powróci? A jaki wysoki, jaki oszacować się nie dający procent nabytków moralnych przyniósłoby nam to, cośmy jedną stroną nie wydali, a drugą stroną wydobyli z siebie! Są klęski losu, które przecież klęskami mogą nie być, lecz przeciwnie zyskiem się staną, jeżeli naprzeciw nich wystąpi z odporem męzki hart ducha i ta poważna, jędrna, od podstaw: t. j. od gruntu naszego życia, od korzeni naszej istoty idąca cnota obywatelska, która się spartańską dlatego zowie, że Sparta dała światu przykład, jak ojcowie rodów mogą czarne polewki na obiad jadać, jak chłopięta mogą się nie rozpłakać i nawet twarzą tego nie wydać, że mają zanadrzem lisa, który im w bok zęby zapuścił.

Sądząc z odpowiedzi, na kwestyonaryusz rodzinny redakcyi naszej nadsyłanych, przypuścić można, że ogół nasz instynktownie rzecz tak pojmuje, bo wszystkie listy więcej i mniej przedstawiające sobie położenie, więcej i mniej głęboko wnikające w ważność chwili, opierają jednomyślnie kwestyą ekonomicznych naszych przeobrażeń na moralnej podstawie zmniejszonych wad, a cnót spotęgowanych. Wszyscy korespondenci nasi widzą, że tędy prowadzi droga do celu, że to jest grunt pod działanie wszelkich środków ratunkowych, jakkolwiek z natury swojej specyalnemi być one muszą.

Na pierwszeństwo uwagi zasługuje list *byłej nauczycielki*. Dwadzieścia siedm lat pełniła ona obowiązki swoje kształcenia młodych pokoleń, widziała dzieci wyrastające na ludzi, siadała u wielu ognisk domowych i miała też sposobność poznać różne okolice naszego kraju—miała sposobność poznać wiele stosunków rodzinnych: mężów i żon, dzieci i rodziców. Pessymistką ona nie jest, ale nie wyniosła sobie z życia zadowolonego na świat nasz poglądu: nie wie czy może wierzyć w postęp, jak to było u niej kiedyś gorąco w sercu noszonem przekonaniem? Dziś, już blizko pięćdziesięcioletnia, więc u wrot starości stojąca, waha się i wątpi: konieczność, niezbitość zasady postępu uznaje, ale, niestety, nie widzi go dzisiaj—nie widzi go zwłaszcza u nas, co ją przedewszystkiem dotyka—i staje się smutną, bardzo smutną.

Dziś się więcej uczą i lepiej się uczą: metody naukowe wykształciły się i pod tym względem postęp jest niewątpliwy, a raczej niewątpliwym by był, gdyby w tymsamym stopniu doskonaliło się wychowanie, gdyby moralne kształcenie człowieka w dziecku szło w parze z rozświeceniem wiedzy i wyrabiało charaktery, uszlachetniało uczucia, podnosiło jednostki, a przez nie poziom moralności ogólnej. Otóż nie widzi ona w tym kierunku postępu, ale cofanie się; twierdzi, że najpierw dzieci chowają się dziś miękcej, że wyrabia się w nich mniej hartu ciała i ducha, że dawna nasza prostota obyczajów w wychowywaniu dzieci nawet sfer najwyższych, ustępuje miejsca psującemu, osłabiającemu komfortowi, zbytkowi nawet w sferach bardzo mało zamożnych—co źle przygotowuje do życia, zagraża papinkowatością fizyczną i niemocą, niewytrzymałością moralną, przywiązywaniem wagi najwyższej do dobrobytu i wygód, które on daje.

Matki dzisiejsze osobiście mniej się wychowaniem dzieci zajmują, więcej je zdają na ręce cudze, z rąk piastunki oddają je bezpośrednio w ręce bony, i to najczęściej cudzoziemki. Zdają się więc mniej kochać, a jednak więcej pieszczą, i temi pieszczotami tak dzieci psują, jak z drugiej strony psuje je strój wytworny, elegancye nieznane niegdyś dzieciom, nawet magnackich domów. Dawniej dzieci najbogatszych rodów nie bywały tak obsługiwane, jak to ma miejsce dziś; przyzwyczajano je do prostego pożywienia i stanowiło to jednę z zasad fizycznego wychowania, oddziaływającą w stopniu wysokim na wychowanie moralne, bo dziecko nie stawało się niewolnikiem tych nawyknień wytwornych, więc było więcej przygotowane do zmian losu, do poświęcenia, gdy trzeba, majątku i łączącego się z nim dobrobytu. Obecnie to wychowanie coraz więcej pieszczotliwe i zbytkowne, odbiera istocie młodej fizyczną, a co zwykle tuż za tem idzie, i duchową wolną wolę, bo czyni ją mało zdolną do cięższych prób życia, wyrabia w niej gusta i pożądania liche strojności, wykwintności, zbytku, co z konieczności łączy się wśród kolei życia z próżnością, powierzchownością, z przecenianiem wartości majątkowych, z pychą na jego posiadaniu opartą.

Małe dzieci już dziś wybrednemi się stają pod względem odziewających je gałganków i zabawek; zbytkowne stroje lalek oddziaływają w sposób najgorszy na rozmiłowanie się dziewczynek w elegancyach toaletowych, i wogóle elegancya, wytworność, oblega dziś dziecko zamożniejszego domu przez wszystkie strony wrażeń życiowych, bo nawet książka, którą do czytania dostaje, ma tak wyzłacane, wymalowane okładki, że jest razem książką i cackiem. Przyjął się w pedagogice dzisiejszej wzgląd jakoby na kształcenie estetycznego smaku, czy przecież ta rozwielmożniona w koło dziecka estetyczność, nie stanie mu się potem w życiu raz grzeszną pokusą, drugi raz wstrętem grzesznym? Trzeba też bardzo uważnie czuwać, aby pod względem tej estetycznosci nie nastąpiło pojęć zamieszanie, aby elegancya nie była braną za piękno, co nietylko dziecko moralnie psuje i na całej jego przyszłości się odbija, ale w razie, gdyby posiadało rzeczywiście jakieś artystyczne obdarowanie, podkopie je przez smaku skażenie: ładne w miejsce szlachetnego postawi, formie i jej wygładzeniu da pierwszeństwo nad treścią i w tworzeniu styl wymuskanym czyniąc, do szerokości, do wzniosłosci nie dopuści.

W wieku demokratycznych niby pojęć, takie wychowanie przepaść odgradzających różnic między klassami wytwarza i biednych od bogatych tak oddziela, że już ani uczucie ludzkosci, ani nawet chrześcijaństwa zapełnić rozdziału tego nie mogą. Nigdy też syn hetmański, córka senatorska nie czuli się tak daleko odsuniętemi od chaty wieśniaczej, od pacholąt chłopskich, jak dziś dzieci lada półpanka. Jakie ztąd wzajemne szkody, jakie zaprzeczenie Ewangelii Chrystusowej i najświętszym jej obietnicom, ludzkosci nadziejom najświętszym—dowodzić nie trzeba!

W chwili przesilenia ekonomicznego, które społeczeństwu naszemu zagraża, jedną z najpierwszych reform powinna być reforma wychowania. Mniej miękkości i pieszczotliwego wykwintu, mniej elegancyi, a więcej prostoty, więcej takiego hartowania, któreby już fizycznie uzdalniało do życia czynnie pracowitego: oto najwyższa konieczność, bo dobry siew dla przyszłości. Korrespondentka wielki nacisk kładzie na to hartowanie, dające się otrzymać przez naturalną prostotę życia, czego nie zastąpi, nie wynagrodzi nigdy ani gimnastyka, ani słone kąpiele, ani zlewanie zimną wodą. Nie osłabiajmy, spowijając dziecko w elegancyą, w szyk, nie denerwujmy go przez życie cieplarniane, przez zbyteczną troskliwość: a nie będzie potem potrzeba wzmacniać go sztucznie. Niech dziecko najpierw żywione będzie potrawami prostemi: niech na śniadanie nie herbatę, nie kakao, ani nawet nie słodzone mleczko, lub śmietankę z wodą pije; ale mleka z chlebem dostateczną ilość niech dostanie, niech przy obiedzie ma do mięsa, nie kompoty i inspektowe wytwory, ale pospolite u nas jarzyny, które jego młody żołądek wybornie strawi, jeżeli pozwolą potem dziecku swobodnie się ruszać, biegać, w ogródku własnym, jeżeli to na wsi, kopać, pleć, a chłopcom na koniu pogalopować, na wóz wsiąść i z żywym, pracowitym ruchem życia się mieszać, upodobań do niego nabierać, z klassami pracującemi stykać się wtedy nie konwencyonalnie, ale w naturalny, ludzki sposób: a niewątpliwie wyrośnie z tak chowanego dziecka istota czerstwa, jędrna, silna i niewydelikacona przez wyrafinowane życie pieszczot, elegancyi, zbytku, troskliwości przesadzonej, i będzie potem nietylko chciała, ale i mogła ręce do pracy życia przyłożyć i użyteczny ślad swego przejścia na ziemi wycisnąć.

Że pokolenie matek dzisiejszych zastępuje przez wyrafinowaną i w kluby sztywnej regularności ujętą metodę dawny osobisty swój udział w wychowaniu dzieci—jest-to jakgdyby wypłacaniem się sztucznem z długu natury, z obowiązku macierzyńskiego. Otacza ona dzieci wypieszczającą wygodą, stroi, miękką jest dla nich, wreszcie nie skąpi grosza i kosztownie ze wszystkich swoich powinności względem nich się uiszcza, z wyjątkiem tylko, że im osoby swojej daje o wiele mniej, niż matki dawne. Nie jest to może brakiem uczucia, zmniejszoną w sercu kobiety miłością dziecka swego, ale i ją już tak wydelikacono, że jej z jednej strony sił brakuje, z drugiej dano jej przyzwyczajenia, które się z pracą wychowywania zgodzić nie mogą. Już to samo niezmiernie rzecz utrudnia, że większość dzisiejszych kobiet kładzie się spać późno, a sypia długo, gdy dzieci, jak ptaszki, wcześnie iść spać i z ożywczą chwilą poranka wcześnie wstać powinny.

Życie pokolenia, które po nas nastąpi, musi być, z ekonomicznej nawet konieczności, już innem, i wychowanie powinno uledz zmianie. Korrespondentka na wszystkie tony i ze względu na wszystkie życia potrzeby i cnoty upomina się o większą prostotę i większe hartowanie. Nietylko mocniejszym, wiele pracowitszym może być człowiek prostych nawyknień. Nie ma on ukochań zbytku, więc majątku i jego używania tak wysoko nie ceni, ztąd może iść łatwiej za głosem serca, gwałtu uczuciom swojem nie zadając. Panna nie sprzedaje się wtedy wybierającemu ją mężczyznie za byt wygodny, kawaler bogatej żony, Bóg wie gdzie nie szuka i domowe ogniska na świętszych, czystszych podstawach się gruntują. I dalej w życie idąc, wykazuje ona jak to zaczyna układać się u nas życie towarzyskie, którego oddziaływania mają znaczenie ogromne nietylko w kierunku naszej osobistej godności, ale w kierunku zniżania się lub podnoszenia pojęć moralności społecznej. Ludzie wiążą się ze sobą w kółka towarzyskie, nie według sympatyi, uznawanej wzajemnie, nie na zasadzie szacunku, ale według skali mniej lub więcej wystawnego życia i odpowiednich strojów, salonów, wykwintu eleganckiego i można też obecnie zmieniając stary aforyzm powiedzieć:—Elegancya, jak śmierć wszystkich równa.

Takie zrównanie to przecież zabicie opinii, która jest głosem sumienia publicznego i utratą osobistej godności ludzi uczciwych, zepsuciem smaku moralnego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

MOJA PIOSENKA

(przekład z Joanny Will).

Nic tak nie gryzie oczu pod powieką,
Jak te łzy gorzkie, które nie pocieką.—
Nic tak tłocząco serca nie uciska,
Jak ta tęsknota, co nie ma nazwiska.—
Nic tak piekąco ust naszych nie pali,
Jak pocałunki, których nam nie dali.—
Nic tak w pamięci żywem nie zostanie,
Jak nie wydane w słowach—pożegnanie!....

Nic tak nie cieszy zmęczonych już ludzi,
Jak myśl, że przyjdzie ranek, co nie zbudzi,
I że jest taka chateczka ukryta,
Do której żaden gość już nie zawita,
Łóżko, na którem wypoczniem do woli,
Sen, w którym żaden dawny ból nie boli,
I takie dobre upowicie ciszy,
Że się już nawet wspomnienia nie słyszy....

M. I.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

VI.

Gdy się komu wiedzie, powiadali starzy, choćby na ziemię padł, kolanami na skarb trafi, gdy kogo los prześladrje, chleb mu się w rękach kamieniem staje: doświadczył tego Dyzma Strzębosz. Król Szwedzki zawsze miał słabość do niego, lecz możeby nie pomyślał w tej chwili o nim i nie nastręczył mu zręczności zasłużenia się, gdyby nie skarga Włoszki, która mu go przypomniała.

Szło o to, kto z sejmu żywo wiadomości do Nieporętu dostarczać będzie, nie urzędowych, a które było łatwo, bo te i Butler i młody Tyzenhauz przywozili i oprócz nich mnóztwo woluntaryuszów, przybywających tu codzień. Jan Kazimierz potrzebował daleko więcej tych zakulisowych plotek, które o usposobieniu szlachty w polu i o przyszłym przebiegu spraw sejmowych wróżyć dozwalały.

Strzębosz miał wejrzenie trafne, gładki był tak, że do niego ludzie łatwo i on do ludzi przystawał, i nie zbyt go znano, więc żadnego posądzenia nie ściągał.

Jemu więc król dał zupełną swobodę obracania się między Nieporętem a Warszawą, naznaczono mu konie i pacholika do dyspozycyi, byle znać dawał, co się tam około szopy i pod szopą dziać będzie.

Zupełnie tak samo Niszczycki miał polecenie od ks. Karola informowania go w Jabłonnie o obrotach spraw sejmowych.

Królowa na zamku, można powiedzieć, że każdą pulsacyą żywota sejmowego natychmiast odczuwała. Ztąd wychodziły pocichu programmata dnia, a co tu przewidywano, ziszczało się w sposób cudowny.

Strzęboszowi, który poruszać się swobodnie i z ludźmi rozmaitymi obcować lubił, jego posłannictwo przypadało jaknajlepiej. Gdyby sobie sam wybierał zajęcie do smaku, innegoby pewno nie żądał.

Prawda, że na polu elekcyjnem, a nawet pod szopą, cóż dopiero po błotnistej drodze do Nieporętu, w te dni jesienne brnąć, nie było rzeczą przyjemną, a deszcz ciągle od zaczątku sejmu lał niemal, jak z cebra; ale młodość znosi ochoczo podobne niesmaki. Na pedogrę cierpiący mnodzy staruszkowie z senatu czuli się w te dni wilgotne gorzej kilku z nich leżało; ale Strzębosz, choć mu za kołnierz ciekło, gwizdał, a do Jana Kazimierza przybywał z tak wesołą twarzą, że i jemu dodawał otuchy.

Tu wszystko, począwszy od deszczu i błota, na dobre tłómaczył.

Wistocie samej sejm, jeszcze bardzo niepełny, bo wielu było w drodze, a o innych mówiono, że wcale nawet przybyć nie mieli, stąpał tak, jak człowiek przestrzeżony, że gdzieś w żelazo lub w dół wpaść może.

Lękano się dotykać pewnych okoliczności i osób, inni znowu, całą winę na kilku składając chcieli ich wywlec tu i pod pręgierzem postawić. Rozumniejsi jak tarczą osłaniali się elekcyą, wołając o jej przyśpieszenie.

Strzębosz, który miał węch doskonały, gdy przewidywał, że w sejmie przyjdzie do ważniejszych rozpraw, dotrzymywał placu pod szopą innych dni dobiegał do Nieporętu. Przyłączał się, to do dworu ks. Albrechta Radziwiłła, to do ludzi marszałka Kazanowskiego, a poza szopą, między szlachtą, nie potrzebował nikogo.

Ponieważ już w samych początkach podział na dwa obozy zaczynał się czuć dawać, Strzębosz pilno unikał deklarowania swej barwy, czynił się sobie, jak podówczas zwano, neutralistą.

Zaraz pierwszego dnia, jak grom, zawarczał głos Referendarza, „Precz z cudzoziemcami! Rusinów wiarołomców z wojsk precz wygnać, cudzoziemcom i plebejom dobra przez nich trzymane podbierać! i t. d.“ Impet ten trochę kanclerz litewski pohamował.

Przez dni kilka można powiedzieć, sejm pulsów sobie próbował aż wreszcie kommisarze od wojska nieszczęśliwego przybyli i poczęły się żale a uniewinniania. Wystąpił z męztwem istotnem Adam Kisiel Rusin, ale mąż prawy, którego jedni zdrajcą zwali, drudzy szacowali, jak zasługiwał.

Strzębosz nie umiał nic innego powiedzieć tylko, że się dopiero preliminarya odegrywały. Tymczasem duchowieństwo szczególniej z ofiarami śpieszyło; jedni ludzi, drudzy, jak Biskup Żmudzki, gotowe pieniądze ofiarowali na potrzeby Rzeczypospolitej.

Przy tych głosach ozwał się czasem rzewny, głęboki, serdeczny, do łez pobudzający; ale, o tych klęskach szeroko rozprawiając, dniami całemi, senat o elekcyi dotąd milczał.

Każdego dnia król wybiegał na spotkanie Butlera albo Strzębosza: A cóż? a co?

I odbierał szczegółowe zawiadomienie, że ani o nim, ani o Karolu na sejmie wcale mowy nie było.

Jan Kazimierz się niecierpliwił.

— N. Panie—mówił mu pocieszająco Dyzma— o elekcyi, prawda, mowy niéma, ale o niej wszyscy myślą: pójdzie potem gładziuteńko.

W tych dniach pierwszych gorący patryotyzm wyścigał się z ofiarami. Marszałek Kazanowski swoimi ludźmi gotów był bronić Warszawy, kanclerz dawał ich także; Radziwiłł na początek stu dragonów i sto piechoty obiecywał, przyczem mu się gorzkie słowo wyrwało:

— Zostawili nasi wozy u Kozaków, bo były naładowane z substancyi chłopów i dlatego chłopom się dostały.

Jan Kazimierz niecierpliwił się temi zwłokami narzekał na nie obawiając się, aby Karol z nich nie korzystał. Strzębosz zawsze z dobrą i gęstą miną upewniał, iż nie było się o co troszczyć.

Zwykle słuchał go examinu król we cztery oczy, nie przypuszczając nikogo, z czem i Dyzmie było lepiej, bo swobodniej wodze sobie puszczał, a jednego dnia, widząc niepokój króla, ośmielił się wprost powiedzieć:

— N. Panie, nasza sprawa doskonale stoi; obawiać się niéma o co. królowa jmość ma tam swoich i czuwa pilno.

Zarumienił się mocno król, chciał naprzód wyprzeć się tego sprzymierzenia, lecz pomiarkował, że toby się na nic nie przydało: udał, jakoby puścił to mimo uszu.

— Uczę się cierpliwości — mruczał król, słuchając Strzębosza i Butlera, —ale gdy inaczej nie może być...

Starosta Butler dowodził, że inaczej wistocie nie mogło być. Sejm dawał czas braciom do ułożenia się między sobą, ażeby w ostatniej chwili do rozdwojenia i walki nie przyszło. Na tajnych więc naradach, i u królowej, i u kanclerzy, zwłóczono umyślnie, nastając szczególniej na Karola aby ustąpił.

Kisiel nawet publicznie się z tem wyrwał, aby sejm posłał do królewiczów i wezwał ich do porozumienia z sobą.

Lecz wojewoda bracławski był widocznie nie wtajemniczony i ta jego rada się nie podobała. Sejm urzędownie o kandydaturach nie wiedział nic, a było przeciw godności Rzeczypospolitej napraszać się im z koroną.

Znowu tedy Strzębosz przywoził wiadomości jak o wyborze hetmanów radzono, o wojsku a naleganie o elekcyą odpierano tem, że Litwa dotąd nie przybyła. Bez niej króla okrzyknąć nie godziło się.

Z innych stron naglono o elekcyą, potem wojsko przysłało legatów od siebie, żądano inkwizycyi, kto tych klęsk był przyczyną, i tak ciągnęły się te przegrywki wstępne bez końca.

Tymczasem królowa, kanclerze i całe stronnictwo Jana Kazimierza czynnem było, nie zawsze nawet oznajmując mu o tem, co czyniło. Brano go tak w opiekę, iż mógł siedzieć, słuchać i czekać naostatek spokojnie.

Z jednej strony rad był temu Król Szwedzki, lecz z drugiej go to upokarzało. Czuł się już teraz narzędziem w rękach czyichś; a tym kimś, co nim władał, była niewątpliwie zakryta, niewidzialna królowa.

Przed jednym Butlerem spowiadał się ze swego upokorzenia Kazimierz.

— Widzisz, Butler, nie mówiłem! Ona już mnie wzięła i spętała, ona tu wszystkiem, ja bez niej, wyznać to muszę, nawet Karolowi-bym nie sprostał. A cóż to dalej będzie?

— N. Panie — pocieszał starosta — wszakże tu idzie o wybór, niech tylko ona czy sam z pozwoleniem, dyabeł, da koronę, cyrografu na siebie nie wydałeś w. król. mość; z mniemanej niewoli dobyć się zawsze będzie czas.

Prawie do końca Października Strzębosz tak jeździł, przywożąc tylko to jedno stałe świadectwo, iż pod szopą i na polu o księciu Karolu mowy prawie nie było, a wszyscy go przezywali: *turbator chori*, bo przeszkadzać tylko mógł, a uczynić nic-by nie potrafił.

Przyszedł wreszcie zdawna oczekiwany dzień, w którym uroczyste poselstwo, naprzód od Jana Kazimierza, miał sejm przyjąć. Zawczasu się frasował o wystąpienie swej godności odpowiadające król, ale poszło wszystko, z tej niewidzialnej ręki, łatwiuteńko i okazale. Znalazło się trzysta wcale pokaźnej jazdy, której pochodzenia nikt nie badał, dla dodania świetności orszakowi, w którym jechali biskup żmudzki, wojewoda bełzki i mazowiecki, referendarz litewski, koniuszy, krajczy i chorąży koronni, starosta lwowski, innych wielu, a z dworu Kazimierza, Tomasz Sapieha i Tyzenhauz, pokojowi jego.

Senat i szlachta, ponieważ pora była znośna, ustawiwszy się na polu w półkole słuchali legacyi, w imieniu której przemawiał biskup. Mowa była zręcznie napisana i wypowiedziana dobrze, usposobienie zaś takie, iż ją doskonale przyjęto.

Strzębosz, który miał zlecenie natychmiast dać znać o skutku niedoczekawszy się odpowiedzi arcybiskupa i sejmowego dyrektora, wezwał poleciał do Nieporętu.

Zbłocony po uszy, pierwszy miał szczęście zniecierpliwionemu królowi donieść o jego poselstwie.

— N. Panie — zawołał żartobliwie — klnę się na co mam najświętszego, takie jest wszystkich serc ku w. król. mości w usposobienie, że ci, co mowy ks. Biskupa Żmudzkiego wcale nie słyszeli, a tych pewnie najwięcej było—i oklaskiwali i okrzykiwali ją najgoręcej.

Tem się nie mógł zaspokoić Kazimierz, potrzebował wiedzieć: jak wyglądało tych trzechset jego jeźdźców, jakie wrażenie uczyniły postacie jego przyjaciół, czy dosyć poważnie i świetnie w jego imieniu się stawili. Dyzma musiał mu opisywać stroje, rzędy, konie, wspaniałość poselstwa, zapowiadając, że z tego, co już wiadomem było, książę Karol mający też wystąpić, nierównie mniej okazale się przedstawi. Tryumfował więc Król Szwedzki, a przybywający nazajutrz rano Butler potwierdził w zupełności wiadomość Strzębosza.

Następnych dni przyjmowano posła szwedzkiego, który w imieniu królowej obu zarówno królewiczów zalecał, i papiezkiego de Torres, do którego orszaku przyłączył się kanclerz Radziwiłł. Ojciec św. także obu również stanom Rzeczypospolitej zalecał, ale wiedziano o tem, iż zlecenie dał aby ex-kardynała popierać.

Królewic Karol w tydzień potem dopiero wysłał posły swoje, ale skromnie, a i ci, co byli zapowiedziani, jak Chodkiewicz starosta mozyrski, nie stawili się i mowy Biskupa Kijowskiego, w imieniu Karola przyrzekającego 10,000 ludzi na obronę Rzeczypospolitej, nikt nie słyszał, taka się wrzawa i hałas wszczął, bodaj czy nie naumyślnie wzniecone.

Bliżej stojący ks. Zaręby, gdy, kończąc mowę, wyraził się, że biskup Karol gotów sam iść na wojnę i krew swą przelać, głośno śmiać się poczęli.

Nawet ci, co radziby byli sobie na korzyść Karola wytłómaczyć skutek tego niemiłego poselstwa zaprzeczyć nie mogli, że ono poszło jak najniefortunniej.

Wszystko się tak składało, aby odjąć biskupowi nadzieję.

Jak o tem doniesiono w Jabłonnej niewiadomo. W Nieporęcie radość była wielka, zatruta tem tylko, że w całej sprawie Kazimierz czuł ową niewidzialną rękę, która go trwożyła.

— Butler,—co ty mówisz? — pytał Kazimierz.

— Winszuję i cieszę się; pieczone gołąbki nam spadają — mówił starosta — nigdybyśmy się sami nie zdobyli na to.

— Lecz — wtrącił nagle król, który usiłował się tem pocieszyć—nie sądź-bo znowu, że wszystko jest jej dziełem. Nie, mam za sobą kanclerza litewskiego, a to jest statysta i człowiek ogromnego wpływu. Jego to sprawa.

— Tak — odparł niezręcznie czy umyślnie Butler — jestem tego pewnym, bo wiem, że codziennie naradza się z królową i bez niej nic nie czyni. Ona z kanclerzem: możemy być pewni zwycięztwa!

Tymczasem termin elekcyi się przewlekał, dlatego, że Radziwiłł i Ossoliński postanowili, nie wprzód do niej przystąpić, aż ks. Karol się zrzecze.

Szło oto, aby go nakłonić.

Posyłano różne osoby do Jabłonny, ostrzegano, starano się przekonać biskupa, że w żadnym razie utrzymać się nie potrafi: nie ustępował.

Wysocki, Czyrski, Niszczycki karmili go nadzieją, że szlachta zakrzyczy senatorów i zmusi do obioru biskupa. Rachowano na Mazurów, spodziewano się przez Chodkiewiczów ująć Litwę tę, której panowanie Radziwiłowskie ciążyło.

Biskup nie tłómaczył się, nie wydawał z tem, na czem polegał, ale z uśmiechem tajemniczym przyjmował gości z Warszawy, ugaszczał ich i poił, oświadczając, że chce dotrwać na stanowisku.

Upór ten Karola, choć nie był groźnym, do najwyższego stopnia niecierpliwił Kazimierza.

Przybycie Wiśniowieckiego, sprawy wojska, na czas jakiś od elekcyi odciągnęły uwagę; kanclerz jednak nalegał na nią ciągle. Czynny bardzo, dwa razy zaglądał do Jabłonnej, nic nie mogąc wymódz na biskupie.

Gotowała się tymczasem wszystkim, a szczególniej królowej i Radziwiłłowi, niespodzianka.

Król Szwedzki bolał nad tem, że sam dla siebie tak mało mógł uczynić i wszystko winien był pomocy Maryi Ludwiki, zabiegom litewskiego kanclerza. Postanowił bądź co bądź, choćby największą ofiarą z Karolem się porozumieć bez niczyjego pośrednictwa.

Zdziwił się nieco Strzębosz, gdy jednego wieczoru król zawołał go do siebie. Przyjął go, krzyż trzymając w ręku, wzruszony niezmiernie i drżący.

— Przysiąż mi tu zaraz, że... tajemnicy dochowasz.

— N. Panie — wykrzyknął Dyzma — ale na to nie potrzeba ani krzyża, ani przysięgi.

— Przysiąż!

Strzębosz był posłusznym.

Ręką drżącą gotowy już i napisany list wcisnął mu Kazimierz.

— Siadaj na konia, jedź do Jabłonnej, list wręcz osobiście bratu mojemu Karolowi i przywieź mi odpowiedź.

Zdumiony, spojrzał w oczy mówiącemu Dyzma, ale nie śmiał się odzywać.

— Żywa dusza nie ma wiedzieć dokąd jedziesz: rozumiesz?

I tak mu było pilno, że oburącz go popchnął ku drzwiom.

— Jedź!

Dziać się to miało w największej tajemnicy, ale wpół godziny potem, gdy Butler przybył z Warszawy z doniesieniami, Kazimierz przed nim sekretu zachować nie umiał.

— Wiesz — wybuchnął biorąc go na stronę — wiesz, zrobiłem głupstwo, albo krok rozumny: naprzykrzyła mi się ta opieka królowej i kanclerza; chciałem sam coś począć.

Butler, znający niezręczność swego pana, ręce załamał.

— Napisałem list do Karola.

— Aleście go jeszcze nie wysłali? — trwożliwie spytał starosta.

— *Alea jacta est*... list wyszedł — odparł Kazimierz, przechadzając się po pokoju. — Jeżeli Karol nie przyjmie i tym razem moich wniosków, nic nie będę miał na sumieniu.

Zmilczał Butler. W przekonaniu jego był to krok fałszywy, a co gorzej, uczyniony samowolnie bez wiedzy królowej i kanclerza, mógł oboje ich obrazić. Radziwiłł zasługiwał na to, aby nie pomijano. Tymczasem król już był tak własną nieudolnością i bezczynnością znękany, że wolał krok fałszywy postawić, niż pozostać w tem odrętwieniu.

Złożyło się tym razem jednak daleko szczęśliwiej i inaczej, niż się spodziewać było można. List Kazimierza braterski, niemal czuły, przybył w chwili ostatecznego znużenia i upadku na duchu księcia Karola.

Tegoż dnia wygadał mu się ks. Zaręba, że jego oświadczenie, iż wsiądzie na koń, śmiechem przyjęto.

Spokojne dni spędzone nad pobożnemi księgami, w ogródku, wśród kwiatów, przyszły na pamięć biskupowi. Począł pytać sam siebie na co mu się ta krwią oblana cierniowa korona przydać miała?

Zawahał się, ukląkł, zaczął się modlić, zapłakał.

Był w nim temperament gwałtowny zawsze, troskliwie tylko hamowany; i teraz postanowienie zrzeczenia się kandydatury przyszło jak wybuch. Wolał to uczynić na wezwanie brata, niż na natrętne nalegania swoich partyzantów.

Strzębosowi czekać kazano.

Odpowiedź Karola brzmiała krótko i uroczyście. Nie był to już list współzawodnika, ale chrześcijańskiej duszy wykrzyk jakiś bolesny.

Biskup nie stawiał nawet żadnych warunków.

Strzębosz, odebrawszy odpowiedź, pośpieszył z nią do Nieporętu, a tymczasem codzienni goście napływali do Jabłonnej i, znaleźli drzwi zamknięte. Oznajmiono im, że ks. Karol niedyspozyt, nikogo przyjmować nie może.

Wysocki, który od świtu czekał na pieniądze, gdyż w gospodzie już beczki i skrzynie stały próżne, odebrał suche polecenie, aby zamknął gospodę i... wszystkiemu położył koniec.

Napróżno się chciał dobijać do biskupa Kapelan z jego rozkazu powtórzył mu nieodwołalne dyspozycye.

W Nieporęcie Butler, nie ruszając się, niespokojny, wyglądał Strzębosza; a co się przez czas ten oczekiwania działo z Janem Kazimierzem, pojmie tylko kto podobne jemu badał charatery i temperamenta.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LIV.

Teatr Rozmaitości: Wznowienie Męża i Żony. Skrytka, obrazek sceniczny w 1-ym akcie *Wiktora Gomulickiego*. — Model na bohaterkę (Er experimentirt), komedya w 1-ym akcie *Henryka Hollpeina*, z niemieckiego tłómaczona.

Nieprzychylna opinia etyczna *Męża* i *Żony* — skutek osobliwszej budowy sztuki i doboru jej charakterów — nie pozwoliła krytyce bieżącej, dziennikarskiej wykazać w tej komedyi fredrowskiej zalet, jakie z czystego stanowiska sztuki dramatycznej stwierdzić w niej potrzeba. W *Mężu i żonie* mamy udramatyzowaną psychologią zdrady w małżeństwie i lekkich miłostek. Tem powietrzem oddycha w komedyi wszystko, co żyje. Fredro chciał umyślnie zaznaczyć że pisze utwór na obrany,—ten, a nie inny—temat i dlatego oderwał pomysł swój od tła społeczno-towarzyskiego danej epoki i cały ruch sztuki zamknął w obrębie czterech charakterów do tematu dobranych. Rzecz prosta, że w towarzystwie z takich żywiołów złożonem pornokracya plenić się może swobodnie. Nie radziłbym też panienek na sztukę tę prowadzić; ale nie widzę rozumnego powodu, dla któregoby stronić od niej miały kobiety wyszłe już z okresu pączkowania i kwitnienia; a prawdziwie już w żaden sposób wytłómaczyć sobie nie umiem oburzenia mężczyzn, nawet tych, którzy urzędownie, czy-to w krytykach swoich, czy w rozmowach towarzyskich, mają sobie za obowiązek występować pod chorągwią jaknajskrajniejszego idealizmu. Prawda, że Fredro postawił temat, który tylko na gruncie zepsutych obyczajów mógł wyrosnąć; ależ kiedy-to te obyczaje były zupełnie czystemi i czyż się ciągle nie brukają? Moralność *Męża* i *żony* jest owiele wyższą od moralności dzisiejszych komedyi i perorówek francuzkich: występek nie odziewa się tam w powabne szaty, lekkomyślność nie jest wabiącą syreną. Dla delikatniejszych nerwów sztuka Fredry może być tylko zbyt silnym narkotykiem; dla myślącego głębiej umysłu będzie bardzo przyjemnem upostaciowaniem natury ludzkiej na scenie.

Ze wszystkich komedyi fredrowskich *Mąż i żona* jest może najbardziej objektywną, najsilniej pojęciową, najistotniej molierowską. Jak się miłostki i zdrady rozwijają; przez jakie formy i momenta psychologiczne przechodzą; jak się wzajemnie wywołują i rozbijają o siebie; jak, same na nieuchronną nicość skazane, pustoszą ducha; jak wreszcie, bez awantur, bez tragedyi, jedna chwila napływu rozsądku i opamiętania się może pasmo ich przeciąć: na to wszystko odpowiada *Mąż* i *żona* mową właściwą sztuce dramatycznej. Krytyka mająca przy sobie tylko jednę bussolę: artyzm, przyzna komedyi fredrowskiej i żywość przygód i doskonałe obrazowanie stanów duszy i jasność processu patologicznego, i prawdę i logiczność dyalogu, a wreszcie rozwiązanie, niestające wcale w sprzeczności z etyką. Dla tych, którym życie daje już mniej sposobności do zachwytów, niż do trzeźwej obserwacyi, *Mąż* i *żona* jest uplastycznioną psychofizyką małżeństwa. Właściwie w całej sztuce jest jeden tylko działacz: natura ludzka, rozszczepiona na cztery promienie. Dociekanie: czy w domu hrabiowskim mogły się dziać takie historye, jakie nam pokazuje Fredro, czy mogły w nich znajdować dla siebie miejsce takie Justysie; czy godziło się tak bezkarnie wypuszczać Alfreda? —na nic się zda. Są rozmaici hrabiowie na świecie, a szczególniej u nas; były ciekawsze jeszcze okazy hrabiów w epoce Fredry; — możliwość kondycyi jakiejś tam subretki nie powinna-by sprawiać cierpień pedantycznej krytyce; wreszcie indywidualność Alfreda nie sięga poza obrany temat. Takiemi są wszyscy, takim i on.

Większą krzywdę, niż wrzekoma niemoralność, wyrządza sztuce istotne już niedbalstwo w wierszowaniu. Czytając te wiersze, czuje się pod niemi zupełne lenistwo artyzmu rymotwórczego. Czy potrzeba czy nie, do rymu „będzie“ znajdzie się zawsze „względzie“; zaledwie się wysunie „wierzę“, zaraz staje mu do pary „w mierze“; można być pewnym, że po „sobie“ zjawi się niezawodnie „w tej dobie“ i t. d. Wszystko to psuje treść, odejmuje powagę, zaciera jędrność myśli i wyrażeń w miejscach wysoce dodatnich. Szkoda wielka, że autor *Ślubów Panieńskich* nie przejrzał tej komedyi, jednej z najpierwszych, jakie napisał: byłby niezawodnie uszlachetnił kształty żywego słowa i zamiast błahego a mętnego rozwiązania, dał rzeczywiście już odpowiadające tematowi i charakterom działającym w sztuce—rozwiązanie szczerze dramatyczne. Wiele komedyi fredrowskich potrzebowało tylko ostatniego przejścia pióra po papierze, aby stanąć na wyższym stopniu wartości. Talent Fredry w epoce twórczości prawdziwej, która się skończyła przed pięćdziesiątym rokiem życia, działał nadzwyczaj szybko, nieopatrznie, jakby nieprowizacyjnie: a właśnie taka pierwszochwilowość, aby nie poniżyć artyzmu, potrzebuje siostrzanego sojuszu z powolną, cierpliwą rozwagą. Jeśli pierwsza odpowiada gorącości natchnienia, druga wprowadza myśl twórczą na tory artystycznego rozumu.

Fredrę potrzeba grać doskonale, zwłaszcza ta-

kiego *Męża i żonę*, gdzie temat wyciągnięty jest nieraz do subtelnej delikatności. Pani Lüdowa była dystyngowaną, ale była przytem i zimną; dobrze się uśmiechała, kiedy mąż zdradzany przechwala się bystrością swej obserwacyi, specyalnie na stanowisku męża pożądanej: zresztą nie dostrzegliśmy w tej grze nic, coby zasługiwało na uwydatnienie. Elwira jest kobietą exaltowaną, co się okazuje nietylko w jej pierwszym dyalogu z Alfredem, ale i w oburzeniu, z jakiem zrywa z nim węzły, które miały być, jak wieczność, bez końca: tymczasem goretszego tonu nie było wcale w grze p. Lüdowej. P. Sobiesław nie dorósł do wysokości Alfreda, na którym sztuka fredrowska więcej się może opiera, niż na Wacławie. Justysia nie umie mówić wierszy, ale ma żywość w mowie i w ruchach, ton jasny, zalotność zdeklarowaną—może nawet za ostrą, przez co staje się więcej gminną, niż filuterną. Najlepiej spełnił swoje p. Ładnowski; przydałoby się tylko Wacławowi więcej giętkości, większa płynność w wysłowieniu i zwinność w ruchach; w zewnętrznym przejawie Wacława raziły rysy p. Ładnowskiego, zanadto szlachetne, ale zamało ruchliwe, na takiego nicponia, jak mąż Elwiry. Wyborną twarz i ton do tej roli miał zmarły przed czasem Świeszewski.

Skrytka powinna była pozostać w skrytce stołu autorskiego. Nie mogłem wyjść z podziwienia, słuchając tego pierwszego utworu dramatycznego autora tylu już utworów poetyckich, rozmiarami, zapewne, niewielkich, ale jakością swoją wynoszących się nad miernotę współczesnego wierszowania warszawskiego, w którem np. z całą naiwnością poety lirycznego a głębokością mędrca mówi się, że Zosi „biło serce pod stanikiem“. Składał wprawdzie p. Gomulicki hołdy swawolnej humorystyce, śpiewał o pomarańczach i innych równowartościach, ale śpiewał także i o skarżących się samym ogromem swoim niedolach, o wstrząsających cierpieniach serca człowieczego. Wpośród jego dość licznych liryk, nie jeden utwór potrąca strunę poezyi, szczerej, niekokietującej ludzi blanszem i różem pustego słowa. Nowelki wydane przez Paprockiego mógł napisać tylko poeta. Niedawno czytaliśmy jego *Prawo Malthusa*, pełne prawdy życia, a urokiem naturalnej poetyczności owiane—drobiazg podbudzający do poważnego myślenia. Ani śladu tego talentu, tej działalności w *Skrytce*; ani tu pomysłu, ani dowcipu, ani prawdy w układzie, ani obrazowości w stylu; ludzie bez oryginalności, pióro bez własnego swego *ja*; przędza wydarzeń scenicznych wykonana niezręcznie, dyalog niczem nie zajmujący: pospolitość zupełna i nieprawdopodobieństwo. Takie obrazki z istoty swojej muszą być konceptami; ale pod każdym konceptem ukrywać się powinno jakieś założenie psychologiczne, postawione poważnie—i poważnie rozwiązane, tak, aby słuchacz mógł mieć od konceptu niezależny interes w podążaniu za autorem. Inaczej dzieje się w sztuce p. Gomulickiego: Zofia odczytuje listy pensyonarskie, śpiewa do rymu „professor”—„giętki jak ressor” (istotnie jeden z trudniejszych rymów), a tymczasem temat psychologiczny zazdrości małżeńskiej śpi, aby się ocknąć nagle w sposób niewłaściwy, nieprawdziwy, niewzbudzający wiary. Pani Irena jest zjawiskiem niefortunnem—chyba autor wprowadził ją w charakterze koniecznego dodatku do stoliczka ze skrytką; a wręcz już za nieprzyzwoicie wtrącone uważam owo „Serce Jezusowe”, owe sarkazmy, któremi pan Gomulicki chciał chyba tylko wykazać banalną już dziś wolnomyślność na punkcie praktyk religijnych. Wogóle: rzecz chybiona, i szkoda że do teatru oddana. Inaczej takie „proverbes” czy „adages” wykonywał Musset, inaczej je pojmował i nasz Chęciński. O grze artystów w takiej sztuce nie wypada nawet mówić: w potłuczonem zwierciedle najpiękniejsza kobieta krzywą twarz mieć będzie—a zresztą nie było co grać. Nie myślę bynajmniej odwodzić autora od sceny, ale nie chcę go także do niej zachęcać; mam tylko nadzieję, że jeśli wystąpi z nową sztuką, sprawi nam większą, niż obecnie, przyjemność.

Konceptem jest tylko i sztuczka niemiecka, ale konceptem różniącym się wielce w sposobie wykonania od utworu oryginalnego. Motyw psychologiczny wyraźnie się tu kształtuje; wszystko płynie logicznie łożyskiem tematu; ludzie, mąż i żona, są prawdopodobnie i w indywidualności własne ujęci. Wrażenia w przerażonej *ad hoc* żonie, występują z doskonałem stopniowaniem i delikatnością obserwacyi psychologicznej. Ów pisarz, który, pisząc tragedyą, potrzebuje żywego modelu wzruszeń do swej bohaterki, zasłużył na to, aby w żonie zamiast tragiczności, znaleźć najpospolitszą filisterską miłość, a za podstęp jakiego się dopuścił, wywołując sztucznie boleść prawdziwą, słusznie odbiera karę w podstępie żony, podającej mu fałszywą truciznę do wypicia. Przez nawiązanie dramatyczności w tak jaskrawy sposób właściwie sam pan pisarz dramatyczny staje się modelem na bohatera — i to modelem niefortunnym. Większy to jeszcze filister od żony swojej – i nie dziwimy się dlaczego potrzebuje umyślnie modelować tragiczność: jest partaczem jako pisarz, jest lichotą jako człowiek. Cała drobnostka dobrze się toczy, nie czuć w niej sztuczności; można się nią szczerze zająć, można swobodnie, bez wysiłku przenieść się myślą w maleńki ten światek, w jakim się sztuka zamknęła. Niezręcznego wchodzenia i wychodzenia przyjaciela wrzekomego pisarza, a właściwie bazgrały mógł autor łatwo uniknąć; zres tą nie trudno mu było w takim drobiazgu nawet zręczność sceniczną okazać. Pani Marcello grała bardzo dobrze Elizę, p. Tatarkiewicz był dostatecznie ożywionym i prawdziwym Teodorem.

Stanisław Krzemiński.

BIAŁA RÓŻA

CZĘŚĆ II-ga

przez

Narcyzę Żmichowską.

(Dalszy ciąg).

— I czemuż nie spieszysz, Augusto? Zdawało mi się, że się już ze wszystkiemi niezrozumiałościami twego charakteru oswoiłam; tymczasem widać, że masz zawsze nową niespodziankę napogotowiu. Co znaczy to bałamucenie Morysia? Czy rzeczywiście jesteś tego pewną, że gdy mu zawód obierzesz, on w nim do celu jakiegobądź dojdzie—a gdy dojdzie, ty go pokochasz i ręką swoją wynagrodzisz? Jeśli tak jest, dlaczego próżne opóźnienie? Czemu pan Maurycy już w Rzymie oddawna za stalugą nie siedzi? Muszę ci się przyznać, Augusto, jak też ja sobie te różne sprzeczności tłómaczę. Oto mi się zdaje, że w artystyczną przyszłość Morysia nic a nic sama nie ufasz; bawisz się rolą opiekuńczego anioła, rolą podszeptującej piękne zamiary Egeryi, lecz gdy o wykonanie najmniejszego z nich idzie, cofasz się pierwsza, bo wiesz, że posłuszna twej woli łuszczyka o lada kamień na gościńcu się rozbije—a pono wiesz, także Egeryo, że twój Numa wkrótce cię znudzi i nie chcesz stanowczej względem niego zaciągać odpowiedzialności. Masz dobre serce, więc prędzej czy później sumienie-by ci wyrzucało, że kogoś tam, jak dudka, o kilkaset mil w pole wywiodłaś i samego zostawiłaś—wszak prawda? przez dobroć serca jedynie zatrzymujesz Morysia? przez rzetelność nie dajesz mu ani kierunku, ani do działania podniety? Inaczej, trudno pojąć, coby ci przyszło z tego marnotrawstwa dni i lat całych, kiedy już w końcu pan Filip zjeżdża, a ty, chcąc nie chcąc, będziesz musiała jednem „tak“ lub „nie“ o przyszłości swojej postanowić.

— Toć-by mi nic nie przyszło z tego także, gdybym Morysia do Rzymu wysłała; przed końcem karnawału pewnie-by jeszcze Rafaela nie dosięgnął a Tycyana nie przerósł. Mnie też nic na jego pędzlu nie zależy. Powiem ci, czego ja chcę, moja Urszulko: oto prawdziwie, ja czekam tylko, żebym się w nim zakochać mogła. Rozbudzam szlachetniejsze jego popędy, dobieram mu takich usposobień, wrażeń i marzeń, w którychby mu najwięcej było do twarzy. Już mi ślicznie wygląda czasem z tą zaniepokojoną męzką dumą w sercu,—jeszcze śliczniej z tem pokornem we mnie zaufaniem, z tą ciągle do mnie odwołującą się myślą, z tą próbą czynnego życia nawpół trwożną nawpół zuchwałą. Ani się spostrzegę może, jak przyjdzie chwila apoteozy, i Moryś tak mi się pięknym wyda, tak pięknym, że za piękniejszym tęsknić nareszcie przestanę.

— I cóż zrobisz wtedy z panem Samuelem, z panem Sewerynem, nie licząc pana Filipa?

— Przyjmijmy jako ostateczną zasadę, że w tym pokoiku pan Filp nigdy się nie liczy; co zaś do Samuela, do Seweryna — właśnie twoim podobno będzie obowiązkiem zbliżyć mię do jednego, od drugiego wyzwolić.

— Więc na to mię sprowadzałaś tak śpiesznie do Warszawy? Niéma co mówić, zaszczytne czekały mię urzędy: faktorki i duenny.

— Pani łaskawa, czekał cię urząd na świeczniku postawionej lampy. W mojej duszy, w moim losie ciemniej trochę, niż w tej pustelni teraz, co ogień zapomniany przygasa [*tak*]. Sama sobie zostawiona, mogłabym się potrącić, zaczepić, rozbić, upaść i nogę złamać; ale wniosłam moją Urszulę: jasno się zrobiło i wszystko widzę; a mnie tego najpierwej potrzeba: dobrze widzieć. Czyż to ja z pewnością wiem kto Samuel? czyż wiem kto Seweryn? Jeden zdaje mi się taki wysoki, wysoki, jak góra Mont-Blanc przynajmniej, drugi taki świecący, błyszczący, jak meteor. A może jeden jest tylko długim, ukośnie pod światło księżyca padającym jakiego pieńka cieniem; może drugi jest próchnem albo fosforycznym wyziewem... *Fiat lux* — światło się stanie i zaraz prawda wszystkiego wyjdzie, jak oliwa, na wierzch.

— Wiesz co, Guciu, że jednak-bym za całą piękność twoją, bo już nie mówię za twoje miliony—łatwiej bez milionów się obejść kobiecie—ale za piękność ową klassyczną, nienaganną, wzorową, za tę piękność nawet, nie podjęłabym się żyć z takiemi ideałami w głowie, a z takiem ciągłem zastrzeżeniem w sercu. „To olbrzym! —kto wie, czy nie karzeł? To dyament! — kto wie, czy nie mika? To mój artysta! —kto wie czy nie głupiec?“ I mieć tak każde wrażenie na dwa zupełnie sprzeczne głosy rozłożonem! Istotnie, chyba musiałabym oszaleć.

— Mnie się nie zbiera jeszcze na szaleństwo. Od dzieciństwa przywykłam do tej kociej muzyki, wtórującej najpyszniejszemu *oratorio*. Wprawa cudów dokazuję — dlatego przy zdrowych zmysłach się uchowałam; ale, że mi często okropnie smutno bywa, tego się nie wypieram — i gdyby mi kto pomógł do przygłuszenia nieznośnego moich szyderstw *charivari*, gdybym z czyjej łaski choć dzień jeden przeżyła harmonijną, bez dyssonansów, pieśnią!—Oh! złota Urszulko, jakbym ja za to kochała mego dobroczyńcę! Jeśli Samuel jest rzeczywistością...

Wtem pode drzwiami lekkie sztukanie słyszeć się dało. Augusta brwi zmarszczyła uniosła się na jednym łokciu i z najwyższą niecierpliwością

— Któż tam znowu?—krzyknęła.

— A to, proszę pani, kąpiel już dawno zrobiona i stygnie — odezwał się cieniutki, czysty, jak srebrnego dzwoneczka, głosik.

— Szkaradna nudnica!—zawołała jeszcze z podobnem pierwszemu uniesieniem—lecz nagle niby coś sobie przypominając, Augusta wróciła się do Urszuli i trochę ciszej dodała: Dobrze jednak, że przychodzi, zaraz ci Morysia w spódniczce i z długim warkoczem przedstawię. Panno Salomeo! prosimy! zawołała znów podniesionym, lecz bardzo uprzejmym tonem.

Na to wezwanie uchyliła się wisząca przededrzwiami zasłona i do owej ciemno-zielonej rotundy, między białą, jak łabędź, Augustę a pół żałobną, nakształt jaskółki, Urszulę, wleciało trzecie stworzonko młode, jaskrawe, trzepotliwe, ubiorem i zwinnością zupełnie krasce naszych borów podobne. Według naszkicowanego przez Augustę portretu Salusia miała trochę zadarty nosek, czarne oczy, świeże i pełne usteczka, a płeć bodaj czy nie zanadto pocygańsku śniadą; wcale to jednak nie raziło w jej powierzchowno-

ści, i owszem, przy tej azyatyckiej cerze jeszcze wydatniej rozkwitały pełne czerstwości, żywe, jak kwiat granatu, rumieńce, a przy tych rumieńcach znowu lekko sinawe półkola pod oczami zakreślone zdawały się być dla podwyższenia blasku pryskających płomykami spojrzeń umyślnie i z wielką starannością przez jakiegoś znakomitego malarza odcieniowane. Po obu stronach tak bogatej kolorytem, nienagannej też i rysunkiem twarzy spadały dwie, niedość może jedwabisto lśniące, lecz za to grube, gęste i prawie granatowo czarne plecionki; z pod tych plecionek wysuwały się ogromne burgundzkie perły przy złotych kolczykach raz na raz od szybkich rzutów głowy drgające smugami mlecznej jasności, która niekiedy aż na szyję się osuwała. Szyja żółta, jak szafran, ale doskonałego toku, prześlicznych żmijkowatych ruchów i lazurowemi przebijająca żyłkami, objęta była tuż przy osadzie swojej bielutkim śnieżkiem tiulowym; śnieżek tiulowy podtrzymywany był koralowym bajaderkiem; bajaderek koralowy rozwieszał swoje sute kutasy na wysoko zachodzącym staniku niebieskiej „mousseline-laine“ sukni stanik po wydatnych kształtach gładko obciśnięty zwężał się i ścinał coraz mocniej, aż naostatek w przepasce bajecznej prawie dochodził szczupłości; przepaskę obejmował czarny mantynowy fartuszek, a kieszonkami fartuszka bawiły się dość pulchne rączki, w wązkich rękawach, tak jak szyja koralikami i tiulikami powyżej dłoni obwiedzione.

Wszystko to razem składało najwdzięczniejszy typ ładnej, wesołej i zalotnej pańskiego dworu pokojówki. Gdyby jej się można było uważniej przypatrzyć, toby z pierwszego rzutu oka najciekawszym dla fizionomisty szczegółem okazało się niezawodnie jej czoło wysokie, pięknie wyrazistemi brwiami zakończone, a w śmiałych rozmiarach swoich dziwną sprzeczność z całą postawą drobnego dziewczęcia tworzące; zazwyczaj jednak nie łatwo komu przyszło na myśl spokojną obok tej wcielonej niespokojności się zebrać. Każdy po pewnym czasie dopiero spostrzegał osobliwość tego rysu jej twarzy, nie każdy zaś i wtedy sprawę sobie zdać umiał: co ztąd za wnioski snować się godziło? czy hieroglif tajemny znaczył szlachetniejsze własnej wartości poczucie czy wyższe umysłowe zdolności, czy tylko zuchwalszą na wszelkie zepsucie odwagę? Byli tacy, którzy utrzymywali, że i jedno i drugie i trzecie można w nim było wyczytać, ale to pewnie skutkiem ciągłej zmienności wrażeń, skutkiem ciągłego gwaru, co prawie atmosferycznie rozśmieszonej Salusi wszędzie towarzyszył. Wowej chwili, naprzykład, gdy weszła do cichego Augusty schronienia, wnet się zdało, jakby na jego tle poważnem różnobarwny kalejdoskop zamigotał, a w promieniach kominkowego ognia, jakoby żywsza wibracya nastąpiła i niby hałas jakiś się zrobił.

— Czy dawno kąpiel gotowa?—spytała na rozpoczęcie rozmowy Augusta.

— Oh! już więcej niż z godzinę — czekamy i nie możemy się doczekać—z lekkiem nadąsaniem odpowiedziała pewna łaskawych względów swej pani suberetka — a doprawdy myślałam, że już nic z tego nie będzie; ledwie mi żółć nie pękła. Pan Dyonizy wszystkich ludzi porozsyłał. Piotr, jak go pani zna: w niczem nigdy mi nie pomoże. Wysłałam Katarzynę, żeby choć stróża odszukała; Katarzyna do reszty oślepła, czy stróż się w ziemię zapadł, ani go znaleźć. Już, powiadam paniom, myślałam, że się rozchoruję.

— Patrz, Augusto, jak wielkiego nieszczęścia twoja wschodnia gościnność przyczyną stać się mogła — rzekła na to żartobliwie utyskującym głosem Urszula.

— Cóż nam uratowało nieocenione zdrowie szanownej panny Salomei? — zagadnęła wesoło Augusta.

— Uratował je pan Maurycy,—z figlarnym uśmiechem odpowiedziała zapytana—z jego rozkazu i Piotr się ruszył i stróż się znalazł, i wody przywieziono, i wszystko już jest gotowe.

— No, Urszulko, miejże spokojne sumienie; choć ta kąpiel, którą ci na wywczas po drodze ze wschodnią, jak mówisz gościnnością, ofiarowałam, tak wiele trudów pannę Salomeę kosztowała, wszystko szczęśliwie się zakończyło, skoro tylko pan Maurycy na ratunek przybył. Oj! ten pan Maurycy! wszak prawda, Salusiu, że on zawsze z każdego kłopotu cię wybawi?

Augusta, zwyczajem wielu pań dzisiejszych, nawet takich, co za najlepsze uchodzą, lubiła się drażnić ze śliczną swoją pokojówką, jak z młodem kocięciem, któremu razporazu kłębek splątanych nici przed nogi rzucamy, ażeby nas bawiło, to swojem splątaniem chwilowem, to swojemi zręcznemi podskokami. Zwolna kocię zaczyna coraz wyżej podskakiwać, a że ma ostre pazurki, nieraz dłoń zaczepiającą udrapnie: więc skarga na niewdzięczność, skarga bardzo niesłuszna. Między młodemi kobietami szczególniej, jakiekolwiek jest ich społeczne stanowisko, od łachmanka do brabanckiej koronki, wszystko pod jednym względem prawu równości ulega. Jest królewskość, jest władza, jest potęga dla każdej z nich dostępna, jest dyamentowa korona, którą właśnie na pokornem czole ubogiej prędzej częstokroć niż na skroniach najpyszniejszej dziedziczki promieniejącą widzieć można. Tą koroną bywa miłość zyskana. Wszystkie skarby w oczach kobiety otyle jedynie mają wartości, ile ku jej osiągnięciu służą. Chyba cicha modlitwa i cichej cnoty pełnienie, za blaskiem takiej nawet ponęty nie tęschni; ale zresztą na co się zda młodość, piękność, dowcip, talenta i stroje, jeśli za nie ów monarchiczny wieniec głowy nie ozdobi? Kochać: to szczęście. Być kochaną: to wielkość kobiety. Najwięcej ukochana, najwyższą i najjaśniejszą panią wśród ich grona. Czuje to każda z głębi swego serca a mało jest takich, któreby dostatniej od losu uposażone, wobec sióstr pokrzywdzonych ciągle pamiętały [*tak*]. Szczególniej też, wolne ślubów i złotego pierścionka, zdają się nie przeczuwać nawet, że ładne stworzenia, upinające troskliwie ich włosy, dociskające ich sznurowadeł, szykujące im zagraniczne mydełka i batysty śnieżyste, mogą wziąć górę nad niemi, o całą wysokość zdobytego na swoje posługi serca, i Auguście nigdy podobne przypuszczenie do myśli nie przyszło. Kiedy czasem rozfantazyowana na temat Morysia, chciała koniecznie, żeby ktoś inny obok niej imię jego wymawiał, zaczepiała zwykle Salusię i żarcikami wywoływała z niej pełno półsłówek, szczegółów, napomknień, z których później dowolne wyobraźnią swoją układała desenie. Gdyby jej wtedy Urszula była powiedziała, że to gra niesumienna, że dla obu stron niebezpieczną bardzo stać się może,—Augusta swoje wielkie, ciemne oczy byłaby otworzyła na nią i zapytała najpewniej: w jakim-to cudzoziemskim, niezrozumiałym przemawia do niej języku? Tymczasem podrażniona Salusia prędko podniosła rzuconą ku sobie szpileczkę i bez namysłu, na cały głos się chichocząc, odparła:

— Co prawda, to prawda, zawsze mię z kłopotu wybawi pan Maurycy, szczególniej kiedy idzie o przysługę dla mojej pani. Niech mi pani wierzy—bez śmiechu dalej mówiła—tu w całym domu nikt tak pilnie i szczerze nie dba o pani przyjemności, o spełnienie każdego pani rozkazu, jak ten poczciwy pan Maurycy. Czy pani myśli, że te upragnione przez panią białe kamelie rosłyby tutaj i kwitły tak bujnie, że na każde zawołanie miałaby pani bukiet z heliotropów i laku, gdyby się tylko przyszło na tego niedołęgę Józefa oglądać? Pewnie-by się tak obszedł ze wszystkiemi, ja z ową chryzantyną starszej pani, co to ją przez noc jednę zwarzył, jakby na jarzynę do kuchni. Strasznie był zły, kiedy potem śmiałam się z niego, że lepiej umiałby gotować, niźli sadzić kwiaty. Pan Maurycy nie da mu się też prawie dotknąć tych, które pani więcej od innych lubi; wziął je pod swoją wyłączną opiekę, sam je polewa, obcina, stawia na słońcu, usuwa od zamarzłych okien. Teraz naprzykład...—i nagle ucięła, palec do ust poniosła, a kiwając główką jakby się sama wstydzić i upominać chciała.—Co też to ze mnie za sroczka!—z udaną grozą wykrzyknęła po chwili—przyrzekłam sekret, a ledwie mi już z języka nie uciekł.

— Daj mu uciec, panno Salomeo—rzekła na to Augusta—drzwi szczelnie przymknięte, okno zabite gwoździami, złapiemy go napowrót i ludzie nic a nic wiedzieć o tym przypadku nie będą.

— A, jaka pani ciekawa!—poufale zaczęła się przekomarzać swawolna i o łasce Augusty niewątpiąca dziewczyna—Pan Maurycy właśnie chce pani małą niespodziankę zrobić. Niechno pani sobie przypomni: czego-to pani przed dwoma miesiącami tutaj, do tego pokoju najwięcej sobie życzyła?

— Urszulko, czego ja sobie do tego pokoju przed dwoma miesiącami życzyłam? Może ty pamiętasz? Ja tak często, a zawsze czego innego sobie życzę! Pewnie pisałam wtedy do ciebie, czy nie życzyłam sobie jakiej gwiazdki z nieba, na miejsce tej rozety bronzowej, która mię już niezmiennością swego położenia, szczególniej w dnie słotne, okropnie nudzić zaczyna.

— Nie, nie — pani sobie czegoś z ziemi, nie z nieba, życzyła.

— Z ziemi? czy nie góry Cimborrazo?

— Co to za jedna? nie słyszałam o niej—aleć góra nie zmieściłaby się tu pewnie.

— Jestto rzeczą dość prawdopodobną - a więc życzyłam sobie szkieletu mastodonta?

— Fe! szkieletu?—co za obrzydliwość!

— Więc dyamentu z korony Wielkiego Mogoła?

— Oh! na nieszczęście chyba to znowu za kosztowne.

— Więc może trochę daktyli i miarkę wody z takiej oazy, w której dotychczas noga ludzka nigdy nie postała.

— A proszę pani, gdzie to ma być taka oaza?

— Tam, moja Salusiu, gdzie się lwy rodzą i gdzie promienie słońca takie są gorące, jak twoje żelazko przy prasowaniu.

— Oj! to gdzieś strasznie daleko!—Przez litość niechże pani o tem swojem zachceniu głośno nie wspomina; bo jakby się pan Maurycy dowiedział, pewnieby lotem ptaka wybrał się tam niebożątko.

— A Salusi żal-by go było serdecznie?

(Dokończenie nastąpi)

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Jeden z redaktorów znanych illustrowanych wędrówek po Włoszech, Szwajcaryi i t. p. pan Raden, ukończył niedawno ładną książkę o wybrzeżu, Riviera, obejmującą ten ogród Hesperyd od Genui i Nervi poczynając, aż do Cannes; zawiera ona mniej więcej to, czego się w podobnej książce spodziewać było można: zręcznie uplecioną wiązankę wiadomostek i zapożyczonych obrazków, stanowiącą całość, jeśli nie nową, to umiejętnie odświeżoną. Obrazki, wszystkie jednej ręki utalentowanego artysty, dają wyobrażenie pewne o wdzięcznej fiziognomii tego zrzynka kraju, osłoniętego górami, zabezpieczonego od wichrów zimnych, ogrzewającego się jak szczęśliwy lazzarone na morskim brzegu. Książka wcale ładna, może przyjemnie zdobić każdy stół w salonie, przeznaczony dla gości, których gospodarz sam niema ochoty lub czasu rozrywać. Riviera zasługiwała na monografią jej poświęconą; nie tak bardzo dawno starych zaczął tu sprowadzać przykład dany przez lorda Broughama, który szukał w cieple zimowem Riviery, odżywienia łatwego dla starych; medycyna zalecać zaczęła kuracye klimatem, naostatek moda i rozpieszczenie jęły wysyłać majętnych, a pragnących rozrywek dla spędzenia tu kilku miesięcy z różami i fijołkami, gdy gdzieindziej zimno i słota dokuczają. Nie mówimy już o sławionem Monte Carlo, którego niezdrowe pokusy ściągają tu, na dłużej lub krócej, namiętnych graczów. Tak powoli stworzył się na prześlicznem wybrzeżu tam cały szereg stacyi klimatycznych, walczących z sobą o pierwszeństwo. Jedna z najstarszych i najwięcej uczęszczanych Nizza, miasto fijołków stolica kwiatów, rozrosła się znacznie, sta-

ła się jakby stolicą tego kraju, który dzieli się na posiadłości włoskie, francuzkie i małego książęcia dającego schronienie ostatnie grze hazardownej, wywołanej z Europy.

Tam, gdzie dawniej mieściły się zaledwie liche wioseczki z ubogimi właścicielami nieurodzajnej skalistej ziemi, zasadzonej drzewami oliwnemi i plantacyami cytryn i pomarańcz, dziś wzniesiono mnóztwo wspaniałych hoteli, willi, pałacyków, dworków, i wszystko tu obrachowane jest na wyzyskiwanie nieszczęśliwych, czy szczęśliwych, którzy przyjeżdżają ciepłem oddychać powietrzem, a uciec od zimy.

Pamiętniki współczesne i pamięć starszych nawet świadczą, jak świeżo powstała Riviera taka, jaką jest dzisiaj. Dotąd wzrastała ona stale; jaka jest jej przyszłość przesądzać trudno. Widzimy tu już hyperprodukcyą willi, pustkami stojących i całych kolonii *in spe*, które spotkał zawód dotkliwy, obok tego nowe się rodzą stacye, nie tracąc nadziei, iż żyć potrafią. W roku przeszłym cholera wielce zaszkodziła całemu wybrzeżu, które stało pustkami, a tymczasem nie tylko Korsyka, ale dalmackie brzegi morza wystąpiły ze współzawodnictwem.

Nie do nas należy sądzić, czy klimat tutejszy i warunki życia istotnie leczyć mogą w pewnych razach; lecz gdyby tylko kilka chwil ostatnich biednym chorym osłodzić mogły, uprzyjemnić, ozłocić nadzieją, już-by miały racyą bytu. Tymczasem zdaje się niewątpliwem, że umiejętnie prowadzone leczenie, gdy wporę jest przedsięwzięte, niekiedy istotnie cudowne daje rezultaty. Byt więc tych stacyi zdaje się być zapewnionym i spekulacya ma tu jeszcze pole do budowania zamków na lodzie i zamków na skałach.

Słynącą niegdyś *chemin de la Corniche* dziś przebiega kolej żelazna i wiąże wszystkie te perły w sznur jeden. Nic piękniejszego w swym rodzaju nad te osady, począwszy od z czarodziejskim przepychem przyozdobionego Monte Carlo aż do smutnego, ale wspaniałego Ospedalotti.

W Monte Carlo milionami rozporządzający dom gry stworzył na pustych, dzikich skałach prawdziwe Hesperyd ogrody, na nieszczęście zatrutemi wyziewami banku gry owiane. Z całej Riviery zbiegają się tu chorych i zdrowych codzień seciny dla próbowania szczęścia. Są, co utrzymują, że urok niepoczciwy złota wpływa na zaludnienie wszystkich stacyi sąsiednich. Lecz Monte Carlo z daleko odleglejszych miejsc ściąga namiętnych ludzi, chcących walczyć z fortuną. Pisano o tem małem piekle tyle, iż zbytecznem byłoby dodawać coś więcej. Są, co się domagają, aby ono zniszczonem zostało, i prędzej później zapewne nastąpić to musi. Tymczasem gra trwa, jaknajzażartsza, i samobójstwa nie odstraszają, bank zarabia rok w rok miliony.

Ponieważ corocznie z prowincyi naszych ściąga się tu dosyć znaczny kontyngens chorych i zmęczonych, nie od rzeczy może będzie list ten poświęcić wiadomościom o Rivierze, jaknajsumienniej zebranym, bez żadnych uprzedzeń i dobrowolnych złudzeń. Czarujące to wybrzeże jest nam znane od r. 1858; przebiegaliśmy je kilkakroć na różny sposób, bo nawet po części pieszo. Od tego czasu wszystko się tu zmieniło, urosło, wypiękniało.

W kierunku Genui klimat się zmienia stopniowo i nieznacznie, śniegi częstokroć leżą jeszcze za górami osłaniającemi Superbę (Genuę), gdy, przebywszy je, nagle łagodne obwiewa powietrze i żywa zjawia się zieloność. Już w tem zjawisku jest coś czarodziejskiego. Genua, w której wiele rodzin angielskich i amerykańskich, przepędza zimy, z poblizkiemi ogrodami pomarańczowemi i kąpielami w Nervi, dziś połączonemi z nią koleją konną, stanowi, można powiedzieć, pierwszą stacyą Rivery. Nervi, ciche, spokojne, ładne, ma to za sobą, że łatwo w niem o wszystko, co wielkie i handlowe miasto dać może. Klimat nie ustępuje innym koloniom chorych. Lecz, co się tyczy klimatu, wogóle łagodnego, potrzeba porady lekarza, gdyż najrozmaitsze odcienie rozróżniają każdą stacyą, a częstokroć, jak w San-Remo, jedna połowa nawet osady jest cieplejszą lub chłodniejszą, mniej lub więcej wilgotną. Różnice te zapewne są mało znaczące, a jednakże w chorobach piersiowych i one pewien wpływ na chorych wywierać mogą. O tem nauczyłaby nas była książka Dr. Tymowskiego, od lat dziesięciu przebywającego tu i studyującego warunki klimatyczne, ale się ona z winy drukarza warszawskiego na ten rok z wielką szkodą opóźniła.

Nervi leży ku wschodowi od Genui i należy właściwie do wybrzeża wschodniego,—„Riviera di Levante.“ Rozległe ogrody drzew pomarańczowych, z których kwiatu pędzą tu ową wodę słynną i doskonałą, są głównym produktem miejscowości. Owoce pomarańcz, równie zwykłych, jak małych, zwanych mandarynkami, są dosyć kwaśne i nie zalecają się zbyt delikatnym smakiem.

Po drugiej stronie zachodniej Genuy, ciągnie się całkowity szereg wspomnianych już osad, które się ciągle pomnaża. Przebiegniemy je szybko, zapisując co się o nich godniejszego pamięci i ważniejszego dla naszych wędrowników zebrać daje.

Całe wogóle Riviera cudownie jest położona, mniej więcej od wiatru zimowego zasłonięta, nie do tego stopnia jednakże, aby się on czasami przez dni parę nie dawał czuć dotkliwie.

Po Genui następuje Sestri di Ponente, tak zwane dla odróżnienia go od Sestri di Levante. Jest to raczej miejsce wycieczek dla Genueńczyków, niż właściwa stacya. Więcej już zwabia kąpielami i mieszkaniami piękne Pegli, ale i to nie ma szczęścia.

Po niem przychodzi Alassio, w którem pobudowano dla chorych hotele i wille, ale się ono bardzo powoli rozrasta, choć zbliżenie do Genui wygodnem je czyni. Nic zresztą takiego, coby je wyszczególniało i dawało mu jakieś zalety wyjątkowe. Alassio mimo ogłoszeń i zabiegów jeszcze się dźwignąć nie mogło. Pominąwszy potem Savonę, miasto w dziejach znane, w którego okolicy szukają miejsca urodzenia Kolumba, przybywa się do jednej z najznaczniejszych dziś i najgłośniejszych stacyi, do San Remo. Lord Marlborough, pisząc o niem w r. 1832, zwał je jeszcze nędzną wioszczyną, my sami, przejeżdżając tędy w r. 1858, jeszcześmy je do niepoznania innem, niż jest teraz, oglądali.

San Remo wistocie ma i wielką przyszłość i ustaloną już klimatem łagodnym sławę, a rozrost kolonii najlepiej świadczy, że sława jest zasłużoną. Leży ono — można powiedzieć—w oliwnym gaju całe, ale z każdym rokiem gaj ten przeistacza się w zachwycające nowe plantacye, wśród których palmy, muzy i wszystkie największego ciepła wymagające rośliny doskonale rosną. Jednakże, jak w tym roku, trafiają się wyjątkowe dnie, noce, a dosyć takiej jednej, aby zmrozić i zniszczyć to, co dziesiątki lat pielęgnowano szczęśliwie. Wogóle jednak ogrody są cudowne, wonne i całe zapełnione roślinami, krzewami, drzewami zupełnie nieznanemi. Dosyć powiedzieć, że tu banan nietylko rosnie i kwitnie, ale dojrzewa i wydaje smaczne owoce; ale palma, której rozmaite rodzaje wybornie się dają pielęgnować, chociaż kwitnie i owoce się zwieszają, daktylów słodkich i do jedzenia zdolnych nie przynosi.

Nie potrzebujemy zapisywać tego, że uprawa roślin nie tylko prócz zamiłowania w nich, ale dla handlu na dosyć już znaczną skalę się dokonywa. W samem San Remo ogród przepyszny, odznaczający się szczególniej kilkudziesięciu rodzajami palm, barona Karola v. Hüttner, jest dziełem zamiłowania jego w roślinach i studyów nad botaniką. Jeśli się nie mylimy, baron Hüttner jest Sasem i mieszkał wprzódy w Dreznie. Kilka pomniejszych należą do handlujących kwiatami, które ztąd jak z Nizzy, daleko się rozsyłają.

Słynie tu szczególniej fijołek, który już gdy to piszemy (w Lutym), po lasach dziko wraz z hiacyntami wykwita.

San Remo, kątek cichy, wdzięczny zdaje się mieć jeszcze wielką przyszłość przed sobą, ale wiele też ma dla zapewnia jej sobie do uczynienia. Hoteli i willi wcale nie brak. W roku przeszłym wieści o cholerze wypędziły ztąd chorych, a w bieżącym jeszcze nie ma liczby gości, do jakich nawykło. Wszystko, cobyśmy my tu pobieżnie o San Remo napisać mogli, byłoby kradzieżą z przygotowanej monografii D-ra Tymowskiego, opartej na kilkuletnich studyach i pobycie.

Tuż, bliziuchno, w bardzo pięknem miejscu milionami rozporządzające towarzystwo lugduńskie wybrało sobie na założenie kolonii nowej— Ospedaletti. Z pośpiechem zbudowano przewspaniałe Casino, którego nie ma San Remo, kilka willi i hotelów, nadzwyczaj kosztowne powyrównywano drogi, przesadzano ogrody, ale wszystko to,—smutno patrzeć—stoi prawie pustkami. Miliony tymczasem utopione tu zostały.

Nie podobna przypuścić, aby gmachy tak piękne, życia tu nie przywołały—gdyż zresztą klimat jest, równie jak w San Remo, łagodny.

Niedaleko od tych, tysiącami palm odznaczająca się, w położeniu równie pięknem, stoi Bordighera; cudzoziemców, ruchu, wygód mniej, niż w San Remo, które też znacznie jest większe.

Pominąwszy granicę francuzką w Vingtimille, następuje słynne już zdawna Mentone, a potem osławione i aż nadto znane ze swego domu gry Monaco—Monte Carlo.

Wyjątkowe położenie tej skały rzuconej w morze dozwoliło zabiegłemu p. Blanc z Monte Carlo zrobić wistocie czarujący ogród.

Wszystko, co się, rozrzucając pieniądz, ze smakiem i elegancyą zrobić daje — ma Monte Carlo: rośliny najpiękniejsze, najrzadsze, najumiejętniej zestawione, kształtami i barwą, marmurowe galerye wychylające się uroczo, budowle olbrzymie i ozdobne aż do zbytku, składają się na rezydencyą księcia, który (ironia losu), jest ślepy! Cudowne widoki daje dla patrzącego przypomnienie, że wczoraj leżały wśród palm i kwiatów trupy zrozpaczonych samobójców, że jutro krwawe te sceny dramatów z rozpusty się powtórzą.

Oburzającem jest, że co sztuka i smak stworzyć mogły najprzedziwniejszego, tu wyzyskano na posługę niepoczciwej spekulacyi, na ludzką słabość i namiętność; ale bądźcobądź Monte Carlo ze swemi willami jest prawdziwie cudownej piękności, tylko piękność to jest *sui generis*, wypieszczona, wyelegantowana, kunsztowna do zbytku.

Roślina jest tu ornamentacyą doskonale się zgadzającą z budownictwem również wyszukanem i zbyt wykwintnego smaku, aby mogło się nazwać istotnie pięknem i wspaniałem. Tylko utwór boży, roślina ma wdzięk, którego mu nic odjąć nie może, gdy w budownictwie smak zły acz olśniewający bogactwem—rozbudza w końcu odrazę.

Monte Carlo, ze swą monarchiczną wspaniałością i elegancyą, budzi w końcu odrazę; opuszcza się je bez żalu, a obraz tych stołów do koła oblężonych blademi postaciami namiętnych graczy, oszalałych radością, rozpaczą lub rozgorączkowanych nadzieją, długo ściga jak zmora.

Po Monte Carlo i małego znaczenia stacyi Beaulieu, następuje stolica Riviery Nizza, dziś wielkie miasto, o którem pisano tyle i które tak jest już znane, że my o niem zamilczeć możemy.

Nie liczą się do stacyi klimatycznych Antibes, po których jeszcze przychodzi zamknąć szereg ten długi—Cannes ze swem przedmieściem Cannet. Cannes szybko rośnie i zdaje się mieć wielką przyszłość przed sobą. Zamało je dotąd znamy, abyśmy się o niem rozpisywać mogli. Co się tyczy powietrza i klimatu, nie ustępuje ono innym osadom Riviery, ale położeniem malowniczem równać się z niemi nie może.

Dla pamięci, należy jeszcze przypomnieć tu Hyères, nieco zaniedbane i zapomniane, którego klimat jest bardzo łagodny, ale wiatry nieznośne często tu dokuczliwie czuć się dają.

Jedna uwaga szczególniej w San Remo, Genui, Nizzy narzuca się mimowolnie. San-Remo już dziś w pismach niemieckich zowią „niemiecką kolonią“ i wistocie prawie się ono daje niemieckiem nazwać, tak ogromny jest napływ tej narodowości, która tu już opanowała cały niemal handel pod pozorem służenia swoim współziomkom. Nie jestże to charakterystycznym faktem, że *ani jeden* hotel w San Remo nie jest własnością miejscowego obywatela, lecz wszystkie posiadają Niemcy i Szwajcarowie? Na znaczniejszej części sklepów napisy świadczą, że szczególniej są przeznaczone

dla Niemców, że w nich mówi się poniemiecku i t. p. Piekarze rzeźnicy, cukiernicy i t. p., odznaczają swe pochodzenie i uwzględnienie potrzeb narodowości niemieckiej. Wiadomo, że w Cannes wobec tej konkurrencyi zagranicznej od zabiegłych Szwajcarów i Niemców miejscowi założyli protest i mieli podawać i lub podali petycyą. Napływ ten plemienia germańskiego, któremu w domu jest ciasno tak, że do gwałtownych środków uciekać się musi, aby zewsząd obce plemiona wycisnąć, na Rivierze szczególniej się uwydatnia.

San-Remo może najdobitniej uległo zgermanizowaniu. Niéma już dziś hotelu, gdzieby język niemiecki nie przeważał niemal nad miejscowemi, gdyż włoski z francuzkim równoważą się niemal.

Za ludnością idzie, naturalnie, przez jej stosunki towar i wyrób przeważnie niemiecki, który francuzki i włoski wypycha. To pochłanianie wszystkiego, co tylko wchodzi w styczność z żywiołem germańskim, począwszy od Austryi, rozciąga się w głąb' Włoch i z każdym rokiem mocniej czuć daje. Czego sobie nie można było przyswoić orężem, to się zdobywa drogą zabiegliwości i pracy. Przeciwko temu nic-by się powiedzieć nie dało, gdyby następstwa nie były do przewidzenia. Naprzód tedy idzie spokojne wciskanie się pokorne — rozmnożenie i skupienie w kolonie, a gdy te raz liczbowo urosną, tak, że pewien procent ludności stanowić będą koloniści, rodzi się z tego prawo do duchowego, a potem i rzeczywistego posiadania kraju. Naturalnie, plemię wyparte ogłasza się jako słabsze i przeznaczone na wymarcie, niezdolne do przyjęcia kultury. Ogólne interessa ludzkości i postępu łączą się i identyfikują z niemieckiemi—i zdobycie dokonywa się ostatecznie.

Tymczasem faktem jest do zapisania, że Riviera niemiecką coraz bardziej się staje.

Za Cannes już niéma stacyi, z wyjątkiem miasteczka Hyères, które dziś wiele ze swej dawnej sławy i wziętości utraciło.

DROBNE LISTKI.

— **Pomnik Gambetty w Paryżu** będzie w dniu 14 Lipca 1887 r. odsłoniętym. Piramida już jest na ukończeniu i brakuje jej tylko kapitelu, który ma mieć 4 metry wysokości. Grupa odlana z bronzu, a przedstawiająca: „Tryumf demokracyi" umieszczoną na nim zostanie.

— **Wielka Opera Paryzka** przyjęła do nauki nową, przez M. Padilhe napisaną operę, pod tytułem: *La Patrie*. Libretto wzięte jest z dramatu Wiktoryna Sardou, tegoż tytułu. Nowy utwór danym będzie zaraz, po cieszącej się wielkim powodzeniem operze Massenet'a: *Le Cid*.

— **Amerykański amator** nabył za cenę 93,600 franków dwa obrazy Milet'a: „Poranek" i „Wieczór." Obrazy te nie były i nie będą nigdy wystawione, ani kopiowane, ani sztychowane: są to warunki położone przez nabywcę.

— **Gmach Akademii w Atenach** zbudowany według planu wiedeńskiego architekta Hansen'a, a wzniesiony kosztem bankiera Sina, zostanie wkrótce otwartym dla publiczności i oddanym na jej użytek. Jest on zbudowany w stylu attycko-jońskim; przebywszy przepyszne propylee, wchodzi się do wspaniałego przedsionka, zkąd wielkie, kunsztownie wyrobione drzwi brzozowe, wiodą do wielkiej, z góry oświetlonej sali zbiorów, głównego punktu budowy, której ściany, jak cały gmach, są wzniesione z pentelickiego marmuru. Zdobi je ośm malowideł, pendzla wiedeńskiego malarza Griepenkerl, przedstawiających myt Prometeusza. Kamień węgielny gmachu położony był w 1859, budował się zatem lat 26 i kosztował 2,800,000 drachm.

— **Olbrzymi Sfinx** kamienny, wznoszący się pod Kairem, lecz do połowy zasypany przez naniesione z pustyni piaski, ma być obecnie kosztem Francyi, a staraniem egiptologa Maspero odkopany. Kustoszowi muzeum w Bulaku, Dr. Brugsch-Bey, robota ta powierzoną została. Rozpoczęto ją d. 6 Stycznia b. r. a d. 1-go Kwietnia starożytny kolos ukaże się oczom ludzkiem w całej swej wielkości. Otoczą go wkoło na kilka metrów wysokim murem, aby znów zasypanym nie został.

— **W Kopenhadze** otwarta została wystawa etnograficznych przedmiotów, przywiezionych ze Wschodniej Grenlandyi, przez porucznika Holm, który w 1884 r., przewodniczył duńskiej wyprawie do tych, nigdy dotąd przez europejskich żeglarzy nie zwiedzanych brzegów. Holm przezimował tam, w miejscowości Agmagsalik, wśród plemienia Eskimosów, nigdy dotąd w zetknięciu z cywilizowanym człowiekiem nie bywałych. Żyją oni odcięci od wszelkich ze światem stosunków i prowadzą tylko w bardzo znacznych odstępach czasu handel zamienny z Eskimosami, rzadko rozsypanemi na wybrzeżach Południowej Grenlandyi. Przecież naczynia i odzież tych Północnych Robinsonów, jak ich porucznik Holm nazywa, odznaczają się zadziwiającą kunsztownością, zwłaszcza, że są wyrobione jedynie ze skór lisów, niedźwiedzi, psow i koni morskich, oraz z kości ich i ości rybich, z bardzo małym dodatkiem żelaza. Do polowania na lądzie używają łuków i strzał, do rybołówstwa lanc i harpunów, których ostre końce są z żelaza lub z kości źwierząt.

— **Ameryka widziana przez inżeniera** — to tytuł książki świeżo wyszłej w Paryżu, a napisanej przez Belgijczyka, Pawła Transenster, professora Uniwersytetu w Liège. Pisana głównie z punktu widzenia technicznego, zawiera przecież mnóztwo szczegółów ciekawych dla każdego czytelnika, bo okazujących nam czem jest pomysłowość i niesłychana dla Europejczyków rzutkość, ryzykowność Amerykan, olbrzymie rozmiary ich przemysłu. I tak, naprzykład, huty metalurgiczne posługują się tam maszynami o sile 5,000 koni; folwarki mają rozległości 20,000 hektarów, i co wieczór rozkazy właściciela, co do dyspozycyi jutrzejszych robót, rozsyłane są za pomocą telefonów do 500 chat rozrzuconych na tej przestrzeni. Skoro w krainie nafty, tak zwanej *Oil Country*, zostanie odkryte nowe jej źródło, wnet sieciami rur Stowarzyszenia Naftowego: „United, Pipe Line Company" płyną jego światłodajne fale wskroś gór i dolin wprost do Nowego Yorku, lub Filadelfii.

Kopalnie kruszców są jednak najwyższem bogactwem Ameryki, to też skoro tylko jakaś żyła cennego metalu zostanie odkrytą, buduje się natychmiast w jej pobliżu miasto, które powstaje niemal z dnia na dzień. Transenster zwiedzał w Górach Skalistych jedno z miast takich, Leadville. W 1877 r. liczyło ono 200 mieszkańców i było wioską, w r. 1880 miało 15,000 ludności stałej, a drugie tyle przybywającej i odpływającej nieustannie i zmieniło się w miasto prawdziwe, pełne ruchu handlowo-przemysłowego. Miasta takie zakładają się przecież z myślą tymczasowości, skoro tylko wyzyskanem zostanie cały zasób złożonego w ziemi skarbu, zwija się ten namiot rozbity wśród pustyni, to jest miasto całe zostaje natychmiast opuszczone i rzędy domów, ulice, kościoły, place, ogrody, teatra stoją otwarte, głuche, samotne. Czasem miasto takie bywa zamieszkałem lat dziesięć, czasem dwadzieścia; wielkiem pytaniem dla gromadzącej się w niem ludzkości jest też: na ile lat osiedlenia się tu liczyć może? Gdy kopiący się pod ziemią górnik zawoła naraz: koniec!... cały ten obóz zaroi się ruchem wyprowadzki: ludzie pakują się na wozy, wózki, powozy, i rozjeżdżają się, rozchodzą jak mrówki a natura prędko zabiera w posiadanie swoje to koczowisko opuszczone.

Yankees są dumni z takiej niezawisłości swojej, z takiego nieprzywiązywania się do gruntu i Transenster podaje charakterystyczne pod tym względem rysy. Różnica pojęć, uczuć, różnica cywilizacyi jest tak ogromna, że przepaść cała dzieli Europejczyka od tego syna Nowego Świata, który wszystko: nauturę, naukę, wiadomości posiadane, sprowadza do jednego mianownika: zyskać, aby użyć!...

Przedsiębierczy tak zuchwale, na tak ogromną skalę operujący, że Europejczyk czuje na to zawrót głowy, Yankee gardzi małemi oszczędnościami i lubi wystawność, która też widnieje wszędzie: w hotelach, gdzie podróżny znajdzie wszystko, co zamarzyć może; na drogach żelaznych, gdzie obok „palace car" kursują wagony restauracye; na statkach parowych—Lewiatanach, niosących 1,200 podróżnych po falach takiej też rzeki jak Hudson, Mississipi! — A jaka oryginalna przedsiębierczość! — woła Trensenster—Czy jest na świecie drugi taki kraj, drudzy tacy ludzie, którzy-by tworzyli stowarzyszenia przemysłowe dla exploatowania wynalazków, mających dopiero powstać w głowie czyjejś?... Odnosi się to do Edisona, którego możliwe wynalazki, są z góry zakontraktowane przez stowarzyszenia akcyonaryuszów. Dokonane już jego wynalazki natworzyły mnóstwo takich stowarzyszeń akcyjnych: „Edison Light Company .." „Edison Machines Works..." „Edison wiring Company..." „Edison Tubes Works..." i tam dalej.

Amerykanin patrzy z góry na przemysł europejski i jego obyczaje, wyobraża też sobie, że podróżnicy przybywający zza Oceanu, powinni uczyć się w Ameryce. W jednej miejscowości, zwiedzanej przez belgijskiego professora, dziennik tamtejszy napisał zaraz po jego przybyciu, że znajdzie tu wiele rzeczy do naśladowania. I rzeczywiście są tam rzeczy, na które Europejczyk najzimniejszej krwi, patrzy z podziwieniem. I tak naprzykład: kapitalista amerykański nie trzyma nigdy kapitałów bez obrotu, któryby przyniósł mu niżej, niż półsiodma od sta, więc poszukuje sposobów takiego pieniędzy swych zużytkowania. Jeżeli przypadkiem miasto jakieś jest dość ludne, a niéma tyle kościołów, ile-by mieć ich mogło, jedzie on tam, buduje kościół, wydzierżawia go przez licytacyą jakiemukolwiek wyznaniu i Transenster widział właśnie tam, gdzie miał się uczyć od Amerykan, taki kościół, zbudowany na akcye, ale właśnie w owym czasie zamknięty, bo wydzierżawiający dawali tylko 10,000 frank. rocznego czynszu, co przecież nie dawało akcyonaryuszom dostatecznej dywidendy i w czasie tych targów, świątynia była zamkniętą, czekając na wyżej dającego.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza si arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

TREŚĆ. Kwestyonaryusz rodzinny przez M. Ilnicką.— Moja piosenka, poezya, przez M. I.— Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Biała róża (dalszy ciąg), przez Narcyzę Żmichowską. — Listy z zagranicy, I. J. Kraszewskiego. — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a. — 26 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Февраля 1886 года.